

# PAUza

Akademicka



Rok IX

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 382 Kraków, 27 kwietnia 2017

[pauza.krakow.pl](http://pauza.krakow.pl)

[pau.krakow.pl](http://pau.krakow.pl)

## Wylansować wstyd

MAGDALENA BAJER

W „PAUzie Akademickiej” nr 378 pani profesor Maria Korytowska z ubolewaniem i zgorzaniem (podzielał oba te doznania) opisała („Patriotyzm językowy”) stan polszczyzny używanej obecnie w mowie i piśmie. Szczególnie irytujące i niepokojące zarazem jest popełnianie wszystkich wymienionych w artykule błędów i niechlujności przez młodzież, w tym studentów, którzy ukończyli szkołę średnią, opuścili rodzinny dom, gdzie przecież rozmawiali z rodzicami, mogącymi okazywać czujność na objawy psucia języka, ale czynili to, co najmniej, nie dość gorliwie. Osobno warto by rozważyć czy pokolenie rodziców obecnych studentów posługuje się polszczyzną lepiej od swoich dzieci, tj. ustalić od kiedy należy datować zauważalny upadek tego, co w humanistycznej tradycji nazywamy kulturą słowa.

Istotny jest także społeczny zasięg zjawiska. Maria Korytowska pisze o mediach jako negatywnym wzorcu (tę opinię także podzielał). W Zespole Etyki Słowa (ZES) przy Radzie Języka Polskiego PAN, działającym pod kierownictwem prof. Jadwigi Puzyniny – znawczyni języka Norwida, funkcjonują podzespoły zajmujące się etyką w polityce, biznesie, mediach, szkole... Zespół Etyki Słowa nie zajmuje się bezpośrednio poprawnością językową, jednak istnieje w języku obszar, na którym niepoprawność i nieetyczność blisko sąsiadują (obraźliwe, niegramatyczne neologizmy).

Osobną sprawą jest zachwaszczenie języka niepotrzebnymi anglicyzmami, swego rodzaju „makaronizacja” współczesna. O tym można mówić w trybie napomnień i pouczeń albo przesmiewczym, bez poprzedzających analiz. Przeżyliśmy swego czasu wojnę „szlafroka” z „podomką” zakończoną – jak się zdaje – remisem.

Błędy fleksyjne, składniowe, semantyczne, o jakich czytamy w „PAUzie Akademickiej”, to kwestia o wiele trudniejsza i ostrzeżenia przed ich popełnianiem mogą pomóc w przypadku osób, które dopuszczają się ich z wspomnianego wyżej niechlujstwa albo ulegając pojawiającym się także w języku (częściej w mówionym, w pisanym niestety także, choć rzadziej) modom.

Nie ma wątpliwości, że próby zaradzenia temu zjawisku są powinnością obywatelską, żeby użyć mocnego argumentu, zaś „patriotyzm językowy” autorki artykułu adresuje tę misję do osób i środowisk dodat-

kowo wrażliwych na poziom tej sfery życia w ojczyźnie, jaką jest komunikacja językowa.

Sformułowany ogólnie postulat, żeby naprawą współczesnej polszczyzny zajęły się wyższe uczelnie, skoro nie daje sobie z tym rady szkoła, wydaje mi się propozycją, która nie byłaby skuteczna – w postaci jakiegokolwiek formy zajęć dla studentów. Z pewnością natomiast warto położyć nacisk na poprawne używanie języka przy ocenach na wszystkich poziomach studiowania i ten nacisk powinien być jawnie podkreślany przez oceniających.

Myślę jednak, że wszelkie poczynania dydaktyczne (tak je nazwijmy) będą mało skuteczne w przewyciężaniu czegoś, u podstaw czego leży moda, co jest, używając zapożyczonego słowa, trendy. I nie chcę przez to powiedzieć, że modne jest – wśród młodzieży, w mediach, w debacie sejmowej – popełnianie błędów językowych. Jednak wielu z nas, używając SMS-owych skrótów, zbitek słownych, terminów przejętych z Internetu, przestaje zwracać uwagę na to, jakich używamy sformułowań, jak dobieramy słowa, zapominamy o synonimach. W ten sposób ubożeje nasz język i znika nasza wrażliwość na niuanse, a z czasem odchodzimy od poprawnych form językowych. W takiej sytuacji nieświadomie powielamy zasłyszane lub własne błędy.

Nie tak dawno wśród pewnej części młodych inteligentów (uczniowie, studenci) widoczna była wyraźnie moda hipsterska, polegająca na akcentowaniu oryginalności poprzez wygląd zewnętrzny, sposób bycia, zainteresowania kulturalne, własną twórczość artystyczną. Polscy hipsterzy przynosili do kawiarni pod pachą grubego tomu Ulisesa i kładli książkę na stoliku w taki sposób, żeby widoczny był tytuł. Nie wiem, ilu z nich przeczytało Ulisesa do końca, ale niejedynemu przynajmniej do tej książki zajrzał.

Przypominam o tym dlatego, że oddziaływanie wzorów obecnych w społecznym obiegu jest zazwyczaj bardzo silne, zwłaszcza gdy łatwo dają się powielać, a do tego dzisiaj mamy liczne narzędzia. Otóż można sobie wyobrazić wylansowanie mody na poprawność językową, a właściwie odwrotnie: wylansowanie wstydu z powodu nieznajomości reguł poprawnej polszczyzny. W najnowszej historii socjologowie odnotowali skutek uboczny powszechnego awansu społecznego po wojnie w postaci naśladowania „mowy miastowej” (szerzej ►

► obyczajów) przez tych, którzy przybyli do miasta, żeby studiować, jedząc chleb ze smalcem w ciasnym akademiku. Ich dzieci już uważały studia za oczywistą życiową drogę, a wnuki jeżdżą na stypendium „Erasmus” za granicę.

Na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego istnieje Pracownia Prostej Polszczyzny. Przyznam, że wydaje mi się to naddatkiem strukturalnym (chyba proste określenie?), jakkolwiek uznają korzyści, jakie z działalności jej pracowników odniósł ING Bank Śląski, nadając swoim obiegowym dokumentom postać łatwiej zrozumiałą dla klientów banku oraz innych czytelników owych tekstów.

W nakłanianiu do używania poprawnej polszczyzny nie pomogą tego rodzaju przedsięwzięcia, mogą jednak dostarczyć narzędzi do sprawnego klasyfikowania, hierarchizowania (ewentualnie) błędów, ustalania ich źródeł i społecznej stratyfikacji. Żeby powstrzymać, a przynajmniej spowolnić, psucie się języka, trzeba z braku poprawności językowej uczynić wstydliwą przywarę („wiochę”, „bądźwie”), piętno, jakim nikt nie chce być naznaczony. Może tu się przydać Internet – bardziej niż konkursy na Złotoustych (z istoty bardzo pozytywne), bo w każdym konkursie laury uzyskują wyróżniające się jednostki, a rzecz idzie o to, by wszyscy Polacy mówili poprawnie po polsku.

MAGDALENA BAJER

## Re: Zасыpywanie rowu

Los pokarał mnie niezłą pamięcią. Stąd pamiętam różne zdarzenia, które w jakiś sposób konstruują mój obraz świata. Pamiętam na przykład zdarzenie, gdy jako student rozmawiałem z kolegą, który wyraził pogląd, że technicy (fizycy, bo obaj to studiowaliśmy) mogą w swoich badaniach uzyskać wyniki szkodliwe dla ludzkości, a wszystko, co wymyślą humaniści, może przynieść tylko dobre rezultaty. Uzasadnieniem poglądu było to, że w naukach ścisłych powstają różnego rodzaju niebezpieczne narzędzia zniszczenia. Jednak już wtedy taki pogląd wydał mi się wątpliwy. Zapamiętałem go i gdy natrafiam na jakiś fakt jawnie mu przeczący, przypomina mi się to zdarzenie.

Niestety, przypomina mi się często. Bo – jak mówią – „nie miecz tępy karaj, a rękę, która nim włada”. W przypadku wszelkich narzędzi zniszczenia nie ich stworzenie jest niebezpieczne, a ich użycie. I, oczywiście, nie chodzi tylko o broń. Każdego narzędzia można użyć dla dobra ludzkości i każdego – przy odrobinie zdegenerowanego pomysłu – można użyć do popełnienia zbrodni. W przypadku naprawdę dużej zbrodni głównymi „sprawcami” są humaniści. I nic dziwnego, bo to oni dzierżą „rząd dusz” i są w stanie zachęcić do takich czy innych działań. Wystarczy wskazać na wojny religijne albo próby (czasem udane!) eksterminacji narodów. Tego nie wymyślili inżynierowie. To dzieła twórców religii i narodów, czyli humanistów. Bo zarówno religie, jak i narody tworzą intelektualiści z nastawieniem humanistycznym. Bez humanistów nie byłoby nawet pojęcia narodu, bo aby stworzyć naród, trzeba stworzyć jego odrębną kulturę. Oczywiście, ludzie od nauk ścisłych także tworzą kulturę. Ta jest jednak nieco inna od tej humanistycznej. Jej inność polega na tym, że kultura ta (mówiąc prosto: wynalazki i wiedza przyrodnicza) bardzo łatwo przekracza

granice i tylko w nielicznych przypadkach może być częścią odróżnienia swój–obcy, będącego głównym źródłem konfliktów. Nie znaczy to jednak, że mamy wszystko zwać na humanistów, gdyż bez ich osiągnięć żyło by się nam dużo gorzej, a wśród przedstawicieli nauk przyrodniczych także znajdziemy takich, którzy – dla promowania (czyli działalności typowo humanistycznej) swoich osiągnięć – proponowali co najmniej mało etyczne zastosowania tych osiągnięć.

Całkowicie zgadzam się z ABBA („PAUza Akademicka” 373), że należy zasypywać rowy między wszelkimi grupami ludzkości, w tym między humanistami a Technikami. Przede wszystkim tym sposobem, jaki działa w naukach przyrodniczych, czyli przez rozpowszechnianie osiągnięć. I tu całkiem niezłe rzeczywistość temu sprzyja. Jesteśmy coraz mniej przedstawicielami różnych narodów, a coraz bardziej ludźmi XXI wieku. Oglądamy te same filmy, słuchamy tej samej muzyki i na co dzień używamy tych samych urządzeń. Dlatego coraz trudniej nas przekonać, że oni są „be” a my „cacy”. Coraz trudniej, ale dalej jest to możliwe. Nawet zupełnie absurdalne poglądy uzyskują poparcie, bo w polityce obowiązuje zasada *divide et impera*. Niestety, dajemy się na to nabierać, bo... bardzo często przy *divide* pojawia się nadzieja, że coś zyskamy, a „oni” tracą. Najczęściej zysk marny, a obustronne straty ogromne. Ale z drugiej strony – żyć z czegoś trzeba i nadzieja na taki czy inny kontrakt jest zachętą do przymknięcia oka na to czy tamto.

Czy jest jakaś wskazówka jak postępować? Wydaje się że tak. Nie bądźmy chuliganami i nie akceptujmy naszego zysku, jeżeli jego ceną musi być „ich” nieproporcjonalnie wyższa strata. I stosujemy do „nich” tę samą zasadę – czyli walczymy, kiedy „ich” zysk jest nieproporcjonalny do „naszej” straty.

JERZY KUCZYŃSKI

Planetarium Śląskie, Chorzów

# Głos w Sprawie procedur grantowych w Narodowym Centrum Nauki – studium pewnego przypadku

Informacja o odrzuceniu wniosku grantowego Andrzeja Bogusławskiego dotarła do mnie niedługo po ogólnopolskim sympozjum, którego byłem inicjatorem, a które w całości poświęcone zostało dyskusji nad dziełem prof. Bogusławskiego i dr Ewy Drzazgowskiej *Język w refleksji teoretycznej. Przekroje historyczne* (KLF UW, Warszawa 2016). Monografia ta stanowi istotną nowość w historii lingwistyki. Będą się na niej kształcić pokolenia polskich językoznawców. Ponieważ znam dobrze autora i jego dokonania, ocena wystawiona mu przez NCN była dla mnie nieprzyjemnym zaskoczeniem. Projektowi uczonego, którego prace przynoszą istotne *novum* teoretyczne oraz stanowią inspirację dla środowiska lingwistów, nie dano szans, eliminując go już w pierwszym etapie konkursu.

Miałem możliwość zapoznania się z odrzuconym projektem *Współczesne problemy teorii kluczowych funkcyj mowy*. Ma on charakter interdyscyplinarny, dotyczy fundamentalnych zagadnień z zakresu językoznawstwa, logiki i filozofii. Pozwolę sobie przedstawić niektóre fakty związane z jego oceną.

1. W ostatnim dziesięcioleciu A. Bogusławski opublikował 7 znaczących monografii, w tym liczącą 612 stron książkę w języku angielskim, wspomniane wyżej dzieło napisane wspólnie z E. Drzazgowską, artykuł z listy A. Ten dorobek został oceniony na 4 punkty. Powstaje w związku z tym pytanie, dla kogo, jeśli nie dla autorów tak efektywnych, jak Bogusławski, eksperci NCN-u rezerwują ocenę 5.
2. Ocena czteropunktowa została automatycznie przeniesiona do rubryki dotyczącej wcześniej zrealizowanych grantów. Tym samym dwutomowe dzieło, liczące około 70 arkuszy wydawniczych, będące przedmiotem poznawczego sympozjum, również zostało ocenione na czwórkę. Warto zaznaczyć, że 70 arkuszy jest czymś niespotykanym w grantowej historii. Jeśli weźmie się pod uwagę zwyczajowy wymóg 6 arkuszy dla opracowania, które pretenduje do miana monografii, dzieło to odpowiada objętościowo ponad 10 monografiom. W tym sensie wynik ostatnio zrealizowanego przez A. Bogusławskiego grantu dziesięciokrotnie przekracza wymogi proceduralne rozliczenia grantu. W oczach zespołu ekspertów nie zasługuje to jednak na najwyższą ocenę.
3. Naukowy charakter projektu i jego spodziewane wyniki oceniono jedynie na 3,5 – nie podając przy tym żadnego merytorycznego uzasadnienia tej decyzji.
4. Współwykonawca projektu – dr Jan Wiślicki – został określony jako „nieznany”, co nie odpowiada prawdzie, bowiem najważniejsze informacje o jego doświadczeniu naukowym można było wyczytać bez trudu z załączonej bibliografii, będącej integralną częścią wniosku, jak również z opisu projektu. Dr Wiślicki jest wyróżniającym się reprezentantem młodego pokolenia polskich japończyków i lingwistów ogólnych. Występował z referatami na wielu doniosłych zagranicznych i krajowych konferencjach naukowych; w swych publikacjach proponuje wysoce zaawansowane metodologicznie rozwiązania problemów logiczno-lingwistycznych. W przyszłości stanie się z pewnością jedną z czołowych postaci zarówno polskiej japończyki, jak i lingwistyki

formalnej. Wiedzę o kompetencjach dr. Wiślickiego uzyskałem jako recenzent jego świetnej japończyki rozprawy doktorskiej.

Incydent, o którym mowa, nie może być w kręgach akademickich pominięty milczeniem. Chodzi bowiem o zasady organizacji badań w naszym kraju. *Regulamin przyznawania środków na realizację zadań finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki* powinien być przez ekspertów stosowany nie tylko w zgodzie z literą, ale również zgodnie z jego duchem. Projekt A. Bogusławskiego, podobnie jak inne prace tego autora, wniósłby z pewnością do teorii języka szereg znaczących, oryginalnych idei z pogranicza lingwistyki, epistemologii i logiki.

Kończąc tę wypowiedź, pozwolę sobie na sformułowanie kilku uwag ogólniejszych dotyczących funkcjonowania instytucji naukowych i wspierających naukę w Polsce. Warto zauważyć, że w perspektywie historycznej mechanizm rozwoju myśli naukowej był oparty na dwóch filarach: na autorytecie czołowych przedstawicieli ustabilizowanych szkół badawczych i na rewolucyjnych ideach młodych reformatorów. Obecnie promowane są działania doraźne, nieprzynoszące długofalowych efektów. Jak nauczał Thomas Kuhn, w nauce rewolucje stanowią niezbędny czynnik jej właściwego funkcjonowania, ale poprzedza je zawsze długi czas tzw. nauki normalnej, kiedy to pożądane jest należyte wykorzystanie autorytetów. Polityka naukowa nie może być prowadzona w oparciu o proste, pozornie racjonalne, recepty. Nie da się sterować odkryciami naukowymi, kierując strumień pieniędzy jedynie na wsparcie „rewolucyjnych” pomysłów. Powstawianie nowych szkół naukowych wymaga innej perspektywy.

Mechanizm wyłaniania w NCN zwyciężskich projektów nie służy ani wspieraniu zastanych autorytetów, ani promowaniu nowych. Wybór pozornie najlepszych projektów na podstawie arbitralnych – często niemądrych – kryteriów (jak na przykład stosowanie listy cytowań Scopusu do oceny prac polskich humanistów) nie realizuje we właściwy sposób misji NCN. Na drodze konkursów, nawet najlepiej zorganizowanych, nie da się wyłonić projektów prowadzących do spektakularnych odkryć naukowych. Trzeba pamiętać o działaniu w nauce mechanizmu darwinowskiego. Przy tak niewielkiej liczbie finansowanych projektów, z jaką mamy do czynienia, brakuje po prostu stosownie dużego zbioru różnorodności, aby umożliwić efektywne działanie doboru naturalnego w sferze idei. Skromna liczba finansowanych projektów sprzyja także przypadkom odrzucania tych wybitnych. Dochodzi często do „selekcji negatywnej”.

Moja końcowa konkluzja jest pesymistyczna. Prowadzona u nas od lat polityka finansowa i instytucjonalna w dziedzinie nauki skutkuje jej marginalizacją na arenie międzynarodowej. Przypadek odrzucenia projektu prof. Andrzeja Bogusławskiego, jednego z najbardziej znanych i cenionych, także za granicą, polskich językoznawców, jest tego zasmucającym przykładem.

JERZY BAŃCZEROWSKI

Professor Emeritus UAM

Od 2010 r. profesor Wyższej Szkoły Języków Obcych im. S.B. Lindego w Poznaniu

<sup>1</sup> Jerzy Bańczerowski jest emerytowanym profesorem zwyczajnym UAM, gdzie przez około 30 lat był dyrektorem Instytutu Językoznawstwa, który powstał w 1973 r. z jego inicjatywy. Doktoryzował się na Uniwersytecie Eötvösa Loránda w Budapeszcie z ugrofinistyki, której dotyczyła również jego habilitacja. Był profesorem wizytującym w USA, RFN i Korei Południowej. Z jego inicjatywy powstały na UAM m.in.: japończyka, sinologia, koreanistyka, arabistyka, filologia wietnamsko-tajska oraz indonezyjsko-malajska. Jest autorem szeregu prac z językoznawstwa ogólnego, porównawczego oraz wschodnioazjatyckiego, w tym książki *Systems of semantics and syntax* (1980). Jest też współautorem podręcznika *Wstęp do językoznawstwa* (1982). W językoznawstwie teoretycznym stosował metodę aksjomatyczną.

## Koło zamachowe raz jeszcze

Po opublikowaniu felietonu *Koło zamachowe* („PAUza Akademicka” 377) o „trzeciej misji” uczelni, czyli o jej współpracy z gospodarką i o grożących w tym zakresie patologiach, otrzymałem list, w którym autor – zgadzając się z moim apelem o podniesienie rangi dobrego kształcenia studentów w polskich uczelniach wyższych – zwrócił mi uwagę, że niewystarczająco podkreśliłem ważność prowadzenia w uczelni badań naukowych.

Bardzo mnie to zaniepokoiło, bo z tego wynika, że mój tekst nie wyrażał poprawnie tego, co myślę. Spieszę więc z korektą. Uważam i zawsze uważałem, że prowadzenie w uczelni badań naukowych najwyższej klasy jest absolutnie konieczne, aby można było uczyć studentów na najwyższym poziomie, jaki daje się uzyskać w określonych warunkach. To jest podstawowa teza Profesora Macieja Grabskiego, na którego się powoływałem. Argument Profesora jest prosty, cytuję: „Nigdzie, mimo różnych pomysłów, nie udało się stworzyć znakomitych swoimi absolwentami elitarnych uczelni bez rozwijania w nich badań naukowych na najwyższym poziomie, a więc dysponowania znakomitymi profesorami oraz ambitnymi studentami”<sup>1</sup>. Profesor Grabski idzie dalej i podkreśla, że to właśnie jest najważniejszy argument za tym, aby państwo polskie odpowiednio finansowało badania naukowe. Argument ten broni się zarówno przeciw tezie Profesora Balcerowicza o „rencie zacofania”, jak również przeciw wysuwanym od czasu do czasu twierdzeniom, że Polski nie stać na zbędny luksus prowadzenia badań podstawowych.

Podsumowując: badania naukowe – i to badania wysokiej klasy – są dla przyszłości kraju absolutnie niezbędne, a ich konieczność wynika z podstawowej misji uczelni, jaką jest KSZTAŁCENIE AMBITNYCH STUDENTÓW NA MOŻLIWIE NAJWYŻSZYM POZIOMIE.

Nieporozumienie może wynikać stąd, że ja (za Profesorem Grabskim) myślałem o uczelniach akademickich najwyższej klasy („badawczych”, jeżeli przyjąć obecnie lansowaną nomenklaturę), podczas gdy mój korespondent rozważał sprawę bardziej ogólnie, mając na uwadze, że trzeba również myśleć o bardzo dobrych uczelniach, kształcących w zakresie studiów I stopnia, gdzie konieczność prowadzenia badań naukowych nie jest tak oczywista.

Wracając jednak do uczelni, które mają kształcić na najwyższym poziomie, a więc kształcić przyszłe elity naszego Państwa, pragnę jeszcze raz podkreślić istotną rolę procesu dydaktycznego. A podkreślam dlatego, że w czasie wieloletniej pracy niejednokrotnie obserwowałem

brak szacunku dla pracy dydaktycznej i spychanie jej na margines. Ewidentnie coś z tym trzeba zrobić. Powtórzę więc jeszcze raz: chociaż prowadzenie badań naukowych na najwyższym poziomie jest niezbędnym warunkiem prawidłowego kształcenia studentów, to jednak nie wolno, pod żadnym pozorem, nie przykładać się z tego powodu w najwyższym stopniu do pracy dydaktycznej.

Naturalnie, łatwiej to powiedzieć niż zrobić, na co słusznie zwrócił mi uwagę autor listu. Wyniki pracy dydaktycznej trudno zmierzyć i ocenić, stąd też trudno podjąć zdecydowane kroki. Mój interlokutor ubolewa, że, cytując: „Słyszymy od dawna, że należy zapewnić możliwość awansu i zdobywania prestiżu na dydaktycznej ścieżce kariery akademickiej, ale choć jest na to zgoda i zachęta, choć już kilkakrotnie stwarzaliśmy na konferencjach możliwość wyartykułowania pomysłów w tym zakresie, to nic nie wyszło poza ogólne intencje. To przecież samo środowisko akademickie w ramach tradycyjnej kultury akademickiej ukształtowało ścieżkę dydaktyczną jako ślepą uliczkę, a raczej swoistą uczelnianą «syberię», na którą z łatwością zsyłani są mniej badawczo utalentowani współpracownicy”.

Korespondowałem w tej sprawie z moimi znajomymi w Stanach Zjednoczonych. To są świetni uczeni, niemniej zajęcia dydaktyczne traktują z najwyższą powagą (być może po części dlatego, że od tego zależą ich pensje). Dla nich opuszczenie zajęć (lub nieprzygotowanie się do nich) jest po prostu nie do pomyślenia. Jest to też skrupulatnie kontrolowane przez samych studentów. Różnica polega m.in. na tym, że u nas studenci są (zbyt często) zachwyceni, gdy przypadnie wykład... Więc droga długa i żmudna, bo chodzi o zmianę mentalności. Dlatego, w moim przekonaniu, błędem będzie utworzenie specjalnej – „dydaktycznej” – ścieżki awansu. To tylko jeszcze bardziej pogłębi stygmatyzację dydaktyki i stąd doskonale rozumiem opór środowiska akademickiego. Chodzi bowiem raczej o to, aby rzetelnie (i jeśli trzeba – surowo) kontrolować te sprawy i nagradzać ludzi, którzy dydaktykę traktują poważnie, nie zaniedbując swoich innych obowiązków, w tym zwłaszcza prowadzenia wysokiej klasy badań naukowych (co zresztą winno być podstawową przesłanką ich zatrudnienia). Absolwentów najwyższej klasy nie wykształcą bowiem ludzie, którzy sami takiej klasy nie reprezentują. Choćby dlatego, że najlepszym sposobem kształcenia wybitnych i ambitnych ludzi jest wciąganie ich do uczestnictwa w ambitnych projektach badawczych.

ANDRZEJ BIAŁAS

<sup>1</sup> Maciej W. Grabski, *Wyznania starego optymisty*, „PAUza Akademicka” 195, s. 2.